

Tu się tańczy, kocha, maluje i pije

15 sierpnia 2017

Tu nic nie można kupić, bo wszystko jest darmowe lub poddane wymianie. Nie ma też zasięgu, więc żaden telefon nie działa, nikt więc nie siedzi na komunikatorach tylko rozmawia, tańczy, maluje, gra, kocha się, pije, pali lub jeździ na rowerze albo zmutowanym pojeździe.



Po pięciu godzinach jazdy jesteśmy już dawno na pustyni. Dookoła tylko piasek, a samochody, wany i ciężarówki przerobione na okresowe domy mieszkalne wzbijają kurz, który otula nas wszystkich dostając się do napojów, jedzenia, oczu i uszu.

Jest nas 21 osób, każdy trzyma w ręku piwo, papierosa, lub jedno i drugie, a z głośników na pełen regulator leci Creedence Clearwater Revival. Tak wjeżdżamy na teren Afrika Burn.

Na bramce wita nas młody gość o długich włosach odziany w biały, mechaty kostium z dużymi butami na koturnach. Mówi, że wszystkie „dziewice” (virgins) muszą wyjść z pojazdu i uderzyć w „dziewiczy gong” – taka jest tradycja pierwszoroczników.

Nasza ekipa liczyła 19 dziewic, zatem echem rozbrzmiało 19 głośnych uderzeń.

Niełatwo było znaleźć po ciemku miejsce na naszą wielką ciężarówkę, przysposobioną w kuchnię, prysznic i dziesięć namiotów oraz wielki szałas firmy Tenticles pod którym mieliśmy spędzić wiele godzin relaksu. Na Afrika Burn trzeba pamiętać o silnych burzach piaskowych i możliwości powodzi dlatego sposób rozbicia obozu powinien być strategiczny; osłaniać od strony dominujących wiatrów i omijać wyrzeźbione przez poprzednie powodzie dolinki.



Niestety, jedna z takich dolinek przechodziła centralnie przez środek naszego obozowiska, co stało się oczywiste dopiero następnego dnia.

Jest poniedziałek 25 kwietnia. Wstajemy rano, jemy śniadanie, każdy bierze po jednej dawce LSD na kwadratowej kostce cukru. O dziesiątej rano jest już 33 stopnie Celsjusza. Wszyscy, jak jeden mąż, wychodzimy z obozowiska na pustynny plac zabaw.

Widzę wielki drewniany statek z żaglami, słusznie nazwany „The Pirate Ship”, który gra fajne breakbeatowe nuty. Na piętrze statku (na który można się wspiąć) tańczy kobieta z parasolem wyginając się na wszystkie strony. Obok niej stoi inna dziewczyna z gigantycznym misiem w okularach. I ona i mis

tańczą do rytmu, skąpani w słońcu.

Dalej jest latarnia morska zbudowana z drewnianych ramek, w środku której DJ'e grają psychodeliczny techhouse i gdzie wiele osób zajeżdża rowerami, żeby posłuchać muzyki patrząc na otaczające nas pustynne góry.



Po drodze z latarni widzę jeszcze wielką zmutowaną rybę na kółkach, która pędzi goniąc ślimaka, za sterem którego siedzi gruby, brodaty szatyn palący jointa. Jest też pomarańczowy kwiat lotosu – wchodzi do niego para hipisów i znika w głębi jakby ginąc w szczelinie jaskini.

Podchodzi do mnie jakiś gość i gdy pytam która godzina, odpowiada, że „jest godzina na tequile” wyjmując baniaczek trunku i podając mi go wesoło. Wypijam z nim kilka łyków, które przyjemnie palą w przełyk. Orientuje się, że dochodzi 6 po południu.

Znajduje część swojej ekipy i chcemy iść do obozu, ale w związku z tym że dojechaliśmy poprzedniej nocy, nikt nie orientuje się gdzie jesteśmy i w którą stronę powinniśmy podążać. Wiemy jedynie, że nasz obóz rozbity jest pod adresem „10.30ish Ixia”.

Szukając domu znajdujemy „Gentlemen’s Club” w którym na głębokich kanapach przy dźwiękach fortepianu (na którym gra

przebrana za kosmonautę dziewczyna) ludzie palą opium i rozmawiają. Z sufitu zwisa wielki, kryształowy żyrandol.



W końcu, gdy temperatura spada z prawie 40 na 10 stopni i jest nam cholernie zimno, znajdujemy obozowisko, przebieramy się w iście zimowe stroje, z czapka uszatka włącznie, i rozpalamy ognisko.

W nocy najbardziej rzuca mi się w oczy długi pociąg, którego lokomotywa zionie ogniem, a który przemieszcza się po pustyni stając w różnych jej częściach i grając kawałki takich kolesi jak Tom Real, Iain Dallas i Seth Schwarz (wszystkich znajdziecie na soundcloud szukając „The Spirit Train”).

Tak mijają kolejne dni. W „State of Bliss” znajdujemy spokój, wygodne maty i poduchy. W „Bubbles & Bass” każdego ranka na śniadania puszczane są tłuste bity i uczestnicy dostają butelkę zimnego szampana – to były najlepsze poranki na świecie!

W związku z tym, że nic nie można kupić, bo wszystko jest darmowe lub poddane wymianie, nie ma nigdzie kolejek. Nie ma też zasięgu, więc żaden telefon nie działa, przez co nikt nie siedzi na komunikatorach tylko rozmawia, tańczy, maluje, gra, kocha się, pije, pali lub jeździ na rowerze albo zmutowanym pojeździe.

Moim ulubionym jest latający dywan sterowany przez opasłego faceta przebranego za psychodeliczną odmianę Alladyna.



W czwartek rozpoczyna się palenie drewnianych rzeźb, których niezliczona ilość co i rusz pojawia się przed tobą i cieszy pomysłowością, kształtem i stylem. Pierwszy spłonął statek kosmiczny. Druga była tańcząca para wysokości prawie 20 metrów. Trzecie było chyba gniazdo na którego szczycie mieściło się wcześniej Silent Disco.

„Ogień to najpiękniejsze widowisko ludzkości” – mówi do mnie nagi człowiek, który siada koło mnie, zmęczony bieganiem wokół wielkiego ogniska. Zgadzam się z nim. Według mnie non-stop można wpatrywać się w wodę, ogień i ludzi wykonujących prace ręczne. I chodź wody na Afrika Burn nie za wiele, to ognia i wyjątkowo uzdolnionych ludzi jest mnóstwo.

Któregoś popołudnia, gdy wdrapujemy się na dach naszej ciężarówki żeby obejrzeć zachód słońca, widzimy bezmiar tego festiwalu. Jego gigantyczną wielkość, ilość sztuki, którą tworzyło tak wiele osób przez taki wiele dni. I chodź piasek uderza w nasze ogorzale twarze, cieszymy się jak dzieci.



Te siedem dni, które mogą dla niektórych wydawać się wiecznością, minęły jak jeden długi dzień. Każdy z nas ma na ustach uśmiech, który nie potrafi zejść z twarzy. Wspaniała atmosfera miłości, zaufania i zrozumienia, z lekką dozą hedonizmu, sprawiła, że jesteśmy lekcy i zabujani w klimacie tego miejsca. Nie chcemy wyjeżdżać.

Gdy nadchodzi jednak ten dzień, pakujemy się ze smutkiem. Ładujemy z powrotem prysznic, którego praktycznie nikt nie używał – po co, gdy po kilku minutach po wyjściu jesteś znów oklejony piaskiem. Lepiej przyzwyczaić się do bycia „Szczurem Pustynnym”.

Wsiadając do środka naszej ciężarówki okazuje się, że zaginał nam Tom. Wchodzimy więc na dach i, jadąc powoli w kierunku, gdzie ostatnio był widziany, krzyczymy „Tom!, Tom! Tom! Where is Tom? Are you Tom?” Jakiś nieznajomy facet z drogi odpowiada „I’m Tom”, a my na to: „Come inside and have a beer”. Częstujemy go piwem, gadamy...

W końcu znajdujemy Toma na rowerze z piękną hipiską w długiej pofalowanej, błękitnej sukni i dużych okrągłych okularach retro. Wsiadają oboje. Nasz czas dobiegł końca. Wracamy do Cape Town, gdzie czeka nas kilka dni odpoczynku i przemyśleń.

Każdy z nas czuje, że na pewno tu wrócimy. I nie możemy się

już tego doczekać!

Autorstwo: Mikołaj Radlicki

Zdjęcia: Lina Henao

Źródło: [MediumPubliczne.pl](https://mediumpubliczne.pl)